

Dla większości ludzi dźwięk jest pojęciem abstrakcyjnym. Spędzamy całe życie, próbując odciąć się od szumu, żeby móc skupić się na tym, co uważamy za ważne. Ale co, jeśli – gdy jasność umysłu zostaje przytłoczona zupełną ciszą – to ten niewyraźny szmer w tle staje się czymś, za co oddałoby się wszystko?

Tytuł oryginału
Fighting Silence
Copyright © 2015 by Aly Martinez
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2019
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Barbara Marszałek
Korekta:
Patrycja Siedlecka
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Przygotowanie okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-7889-836-8

ALY MARTINEZ

WALCZĄC Z CISZĄ

Seria
On the Ropes #1

Tłumaczenie
Anna Kuksinowicz

OŚWIĘCIM 2019



Prolog

TILL

– WYSIADAJ Z AUTA. – Poczulem na skroni chłodną, metalową lufę pistoletu.

– Nie mam kasy – powiedziałem szybko, podnosząc ręce.

– Wyłaż. Kurwa. Z tego. Auta! – krzyknął potężny, dobrze ubrany mężczyzna i szarpnięciem otworzył drzwi mojego pick-upa.

– Po prostu weź wszystko, co chcesz – oznajmiłem, wysiadając z samochodu.

– A żebyś wiedział, że wezmę. Gdzie są, kurwa, moje pieniądze? – Zamachnął się kolbą pistoletu, chcąc uderzyć mnie w twarz, ale był zbyt wolny. Uchyliłem się w bok i poczułem lekki podmuch wiatru.

Z rozmachu zatoczył się do przodu, a ja ruszyłem na niego, zanim zdążył odzyskać równowagę. Zadałem mu mocny cios w twarz, a kiedy wyprowadzałem prawy sierpowy, usłyszałem wystrzał.

– Till! – Z oddali dobiegł mnie głos ojca.

Powinien stąd spierdalać. Ja zresztą też.

– On ma broń! – ostrzegłem, szamocząc się z mężczyzną. Możliwe, że zostałem postrzelony i wiedziałem, że jeśli nie zabiorę mu pistoletu, stanie się to na pewno.

Udało mi się go powalić, ale nie byłem na tyle szybki, by powstrzymać go przed odzyskaniem sploty.

– Rusz się jeszcze o jeden cholerny centymetr, a przysięgam, że będzie to twój ostatni ruch. – Obiecał, celując prosto w moją głowę. Dzieliło nas niecałe pół metra.

Nie pozostało mi nic innego, tylko pozostać w bezruchu.

– Kurwa! – krzyknął, przykładając sobie kciuki do ust. Z nosa ciekła mu krew. Wytarł ją rękawem, po czym uderzył mnie pistoletem w klatkę piersiową. – Idź tam – burknął rozkazująco, wskazując ciemny magazyn.

– Nie – oznajmiłem stanowczo. – Nigdzie z tobą nie idę. Weź moje pick-upa, portfel, co tylko chcesz.

– Wiesz, czego chcę, zasańcu? Moich. Pieprzonych. Pieniędzy.

– Nie mam twoich pieneędzy!

– Gówno prawda! – Chwycił mnie za włosy z tyłu głowy, a broń podetknął pod brodę. – Torba, którą ukradłeś Clayowi Page’owi, była moja! Po prostu oddaj mi tę cholerną kasę, a odejdziesz bez dziury w swojej pieprzonej głowie.

Dwa proste słowa zmroziły mi krew w żyłach.

Clay Page.

Tylko i wyłącznie przez niego znalazłem się w tej sytuacji. Jakaś godzinę temu zadzwonił do mnie, prosząc o podwózkę do domu. Brzmiał na zdesperowanego i zaproponował mi dwa-dzieścia dolców. Wtedy założyłem, że był pijany, ale teraz, kiedy czułem, jak spluwa wbija mi się w szyję, nie wątpiłem w to, że zostałem wrobiony.

Przez własnego ojca.

– Niczego mu nie ukradłem.

– Nie kłam, Till. Po prostu oddaj Frankiemu pieneądze – powiedział ojciec, kulejąc. Wychodził z magazynu. Miał dotkliwie pobitą twarz, a z czegoś, co wyglądało na ranę postrzałową nogi, ciekła krew.

Zastygłem na ten widok, a Frankie mocniej chwycił mnie za włosy.

– O czym ty, kurwa, mówisz?! – wydarłem się na ojca. – Dobrze wiesz, że nie mam żadnych pieneędzy!

Szedł w naszą stronę. Nagle pistolet zniknął spod mojego podbródka i został wycelowany w niego.

– Nie zbliżaj się, Clay. Zastrzelę cię, kurwa, na miejscu.

Zatrzymał się powoli i uniośł ręce.

Mocnym pchnięciem zostałem zmuszony, żeby dołączyć do ojca, który stał naprzeciwko broni. Po raz pierwszy mogłem przyjrzeć się napastnikowi.

Spod rękawa jego koszuli wyłaniał się nietypowy tatuaż ze smokiem, biegnący aż po wierzch dłoni. Zielony potwór zionął ogniem. Płomienie rozciągały się wzdłuż każdego z trzęsących się palców gangstera, które wprowadzały pistolet w drganie. Oczy Frankiego były szeroko otwarte i szkliste, wzrok skakał nerwowo między mną a ojcem. Mimo że noc była chłodna, spływał po nim pot. Z gościem było źle – nie był tylko wkurzony... był naćpany i nieprzewidywalny.

– Koles, mam jakieś dwie stowy w pick-upie. Po prostu je sobie weź.

Groźnie wykrzywił twarz.

– Dwie stowy? Dwie. Stowy? W tej pieprzonej torbie było ponad czterdzieści tysięcy dolców! A ty chcesz mi dać dwie stowy?

– Rzucił się do przodu i zatrzymał w chwili, gdy jego dłoń spoczęła na moim gardle, a pistolet na środku czoła. – To się nawet nie zwróci! – Ślina tryskała mu z ust. Stracił resztki opanowania.

– Po prostu się uspokój! – błagałem. – Nie mam twoich pieniędzy! Nigdy ich nie miałem!

Znowu wycelował broń w mojego ojca.

– To prawda? Ten, który kłamie, dostanie kulkę.

– Nie. On je ma. Przysięgam! – Ojciec wykrzyczał swoje tchórzowskie kłamstwo z takim przekonaniem, że prawie sam mu uwierzyłem.

Od zawsze wiedziałem, że Clay Page jest gnojem. Nienawidziłem go, od kiedy zrozumiałem, że tak naprawdę jest podstępny wążem. Ale wbrew swojemu zdrowemu rozsądkowi, z dwudziestoma dolarami stanowiącymi jedyną zachętę, ostatecznie wpłatałem się w tę sytuację przez brak zaufania do własnego przecucia.

Już nigdy więcej.

I właśnie wtedy moja intuicja krzyczała, żebym pozostał wiernym temu, co robiłem od momentu, w którym przyszedłem na świat ponad osiemnaście lat temu. Jeśli miałem umrzeć tej nocy, nie zamierzałem poddać się bez *walki*.

Rzucając się gwałtownie do przodu, uderzyłem głową prosto w nos Frankiego. Pistolet wystrzelił nad moim ramieniem, ale w tym momencie kompletnie nie obchodziło mnie to, gdzie wyląduje pocisk... nawet jeśli miałby utkwąć w głowie Claya Page'a.

Po zaledwie trzech uderzeniach w twarz Frankie upadł na ziemię, ciągnąc mnie za sobą w dół. Usłyszałem, jak splota ślizga się po ziemi i zanim wylądowałem na nim, uderzyłem go jeszcze raz w głowę. Jego głowa mocno trzasnęła o beton, ale to mnie nie powstrzymało. W końcu przestał ze mną walczyć, lecz oprzytomniałem dopiero, kiedy usłyszałem dźwięki syren dobiegające z oddali.

Wstałem, cały we krwi, i ruszyłem z powrotem w stronę swojego samochodu. Jednym szybkim spojrzeniem obrzuciłem mężczyznę, przez którego się tu dzisiaj znalazłem. Trzymał się za brzuch i tarzał po ziemi. Nie pozostawił mi żadnych złudzeń – wiedziałem, że mu na mnie nie zależy. Odchodząc, dałem mu to samo do zrozumienia.

Po tym, jak wgramoliłem się z powrotem do pick-upa, auto poprowadziło mnie znanymi drogami. Przy każdym zakręcie przez mój mózg przelatywała myśl, że ojciec mnie zdradził. Nie wiedziałem, dokąd zmierzam. Po tej nocy nie miałem już gdzie wracać.

Nienawidziłem swojego życia i wszystkiego, czym było... a w szczególności czym nie było.

Bóg mnie przeklął. Zostałem skazany na powolne pograżanie się w ciszy. Terazniejszość mnie drażniła i prześladowała tym wszystkim, co w końcu utracę. Jeszcze zanim mój pieprzony ojciec chciał wydać na mnie wyrok śmierci, tylko po to, by urato-

wać swoją skórę, już i tak tonąłem w oceanie życia. Walczyłem o każdy haust powietrza. Gdy tylko wyłaniałem się nad powierzchnię wody, wypełniając swoje płuca nadzieją i determinacją, by przetrwać kolejny dzień, coś wypychało mnie z powrotem w odmęty... za każdym razem głębiej.

Istniało tylko jedno miejsce, w którym świat nie mógł wysysać ze mnie życia. Niezależnie od tego, jak długo tam byłem – kilka sekund czy godzin – dawało mi wytchnienie i odbudowywało moją wolę.

Chciałem wrócić do *domu*.

Lecz miejsce, gdzie co noc kładłem się spać, nie było moim domem. Istniało za to inne, w którym czułem, że żyję, chociaż tam nie mieszkałem. Potrzebowałem tego marzenia, które istniało wyłącznie wśród tych czterech ścian.

Potrzebowałem *jej*.

Sześć miesięcy minęło od czasu, kiedy oddałem jej nagiemu ciału więcej, niż myślałem, że kiedykolwiek zdołam komukolwiek ofiarować.

Te same sześć miesięcy życia w prawdziwym świecie mnie zniszczyły.

Potrzebowałem tej fikcji, którą tylko ona potrafiła mi zapewnić.

Ale niezależnie od tego, o czym marzyłem, wiedziałem, że jej tam nie będzie.

Pieprzyć to. Duma na bok. Pojadę do niej.

Zawróciłem ostro na środkowym pasie i poddałem się temu, co codziennie mnie przyciągało, grożąc, że mną zawładnie. Wiedziałem, gdzie mieszka. Wiedziałem, gdzie co noc kładzie się spać. A co najważniejsze... wiedziałem, gdzie jest moje miejsce.

Przy Elizie.



Pięć lat wcześniej...

KIEDY MIAŁAM TRZYNAŚCIE LAT, spotkałam Tilla Page'a w opuszczonym lokum znajdującym się nad moim mieszkaniem. Od razu skojarzyłam go ze szkoły. Nie dałoby się go nie rozpoznać... Już jako chłopiec odznaczał się nieprzeciętną urodą i to na długo, zanim odkrył istnienie siłowni, a jego wytarte ubrania znowu stały się modne. W tamtych czasach był tylko cherlawym dzieciakiem z kudłatymi włosami i szerokim, szelmowskim uśmiechem.

Nie wiedziałam nic o życiu Tilla, ale domyślałam się, że było lepsze od mojego. Miałam niezłych rodziców, tylko że nie znajdowali dla mnie czasu. A właściwie nie mieli ochoty go dla mnie znajdować. Zawsze czułam, że jestem dla nich ciężarem. Nocami zazwyczaj kryłam się w swoim pokoju i słuchałam, jak kłócą się o pieniądze... lub raczej ich brak. Uwielbiałam wymyślać się do tamtego zapyziałego mieszkania. Było moją własną fortecą odosobnienia... dopóki pewnego popołudnia nie zjawił się tam Till.

Przestraszył mnie na śmierć, bo wdrapywał się przez okno. Jego oczy były zaczerwienione, a na policzkach zauważyłam ślady łez.

– Kim ty, kurna, jesteś? – zapytał, otrzepując swoje już i tak brudne spodnie.

Zerwałam się na równe nogi. Blok rysunkowy i kilka koloro-

wych kredek, które udało mi się wynieść niepostrzeżenie z sali od plastyki rozsypały się po całej podłodze pokrytej linoleum.

– Kurde! – krzyknęłam, rzucając się, by je pozbiierać. Kiedy skończyłam zgarniać swój cenny dobytek, spojrzałam w górę i zobaczyłam, jak wyciera łzy rękawami.

– Jeśli powiesz komuś, że płakałam, to ja powiem wszystkim, że próbowałaś mnie pocałować.

– Wcale nie próbowałam cię pocałować! – wrzasnęłam oburzona na samą myśl o tym... i może też nieco zaintrygowana.

– Jeśli się wygadasz, to cała szkoła będzie myślała inaczej.

Chyba rozdziawiłam usta w obliczu tej próby szantażu, ponieważ szybko skończyłam słowami:

– Lepiej zamknij buzię, bo pajak, który siedzi ci na ramieniu, uzna to za zaproszenie.

Na samą wzmiankę o pajaku zaczęłam pisać i objąć się o obskurny pokój, młóćąc rękami powietrze. Zerwałam koszulkę przez głowę, nie do końca świadoma tego, że chłopak przestał ryczeć ze śmiechu.

– Eee... – zająknął się, kiedy w końcu się uspokoiłam.

Zanim uzmysłowiłam sobie, że stoję tylko w staniku, nie minęła nawet sekunda.

– O Boże! – pisnęłam, odwracając się i zasłaniając swoje piersi rękami.

– Masz. – Rzucił we mnie moją koszulką i na nowo rozpoczął się kolejny atak hysterii z powodu pajaka.

– Pajak nadal może na niej być! – krzyknęłam do ściany.

– Albo przeniósł się na twoje włosy.

Właśnie wtedy postanowiłam dać sobie spokój z zakrywaniem swojego niemal nieistniejącego biustu i zaczęłam czochrać włosy, wytrząsając wszystkie nieproszone owady, które mogły się w nie zaplątać.

Zawył ze śmiechu.

– Nie śmiej się! – wysyczałam.

Ponownie podniósł koszulkę, lecz tym razem, zanim znowu nią we mnie rzucił, dokładnie ją obejrzał.

– Bezpająkowa. Gwarancja jakości: Till Page.

Spojrzałam na niego z ukosa.

– Dzięki – odpowiedziałam, wciągając koszulkę przez głowę, choć wolałabym ją podpalić.

– Spoko. Jeśli jednak postanowisz się wygadać, to nie będę musiał kłamać i po prostu powiem wszystkim, że się przy mnie rozebrałaś.

– Nie zrobiłbyś tego. – Łypnęłam złowieszczco, przywołując na jego twarz uśmiech.

– To spróbuj – rzekł ze zdumiewającą pewnością siebie. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś podobnego u chłopca w swoim wieku. I tak nie miałam najmniejszego zamiaru komuś o tym mówić, ale jednym spojrzeniem umocnił tę decyzję.

– Nieważne. – Podeszłam do swojej małej, prowizorycznej szafy i zaczęłam ją opróżniać.

– Co robisz? – Zaciekawiony patrzył, jak układałam w stertę wszystkie stare szkicowniki i ogryzki kredkek.

– Zabieram swoje rzeczy, żebyś ich nie ukraść.

– Nie zamierzam kraść twoich pierdół. Nie jestem złodziejem – odpowiedział, a w jego głosie słychać było coś, przez co czułam się winna, że zasugerowałam, iż mógłby je zwinąć.

– Pewnie. Okej. Ale nie chcę ryzykować, skoro jeszcze ktoś tu przychodzi. – Rozejrzałam się, szukając czegoś do zapakowania, ale kiedy się odwróciłam, wszystko rozsypało się na podłogę. – Och – stęknęłam, szybko nurkując za szkicownikami i kredkami.

– Nie musisz zabierać swoich rzeczy. Nie tknę ich. – Kucnął i zaczął pomagać w zbieraniu. – Poza tym nie wiem, co niby miałbym zrobić z centymentrową, różową kredką. – Podniósł ją z podłogi i wyciągnął w moją stronę. W jego oczach odbijało się ciepło. Patrzył zupełnie inaczej niż zaledwie kilka minut temu, kiedy się ze mną droczył.

– Dzięki – odpowiedziałam, przyglądając mu się podejrzliwie. Musiałam uwierzyć mu na słowo, ponieważ nie znałam innego miejsca, gdzie mogłabym trzymać swoje rysunki.

Mojej matce bardzo nie podobało się to, że spędzałam tyle czasu, ślęcząc nad obrazkami. Przy każdej okazji wyrzucała moje przybory rysunkowe. Przypuszczałam, że nie miało to związku z tym, że rysuję, lecz raczej z tym, że mój ojciec był bezrobotnym artystą, który odmawiał znalezienia pracy w innej dziedzinie.

– Często tu przychodzisz? – zapytał Till, ściągając czapkę i przeczesując palcami swoje ciemne, potargane włosy.

– No, przychodziłam. – Przewróciłam oczami, a on swoje zmrúżył i w ciszy przyglądał mi się z odległości kilku metrów. Było to najbardziej niezręczne starcie w moim nastoletnim życiu, ale on nawet nie drgnął, zresztą tak, jak ja.

Nagle przestraszył nas wściekły, ostry kobiecy głos, który zatrzęsł oknami.

– Till, zabieraj swój tyłek do domu, ale już!

Chłopak szybko złapał mnie za rękę i pociągnąwszy, przycisnął do tylnej ściany, usuwając nas z widoku.

Z palcem na ustach zmusił mnie do milczenia. Wychylił się do tyłu tylko na tyle, by móc zerknąć na zewnątrz przez róg okna.

– Na dół – nakazał, po czym pociągnął mnie na podłogę, obok siebie.

Po kilku sekundach usłyszeliśmy, jak głos kobiety się oddala. Till wydał z siebie westchnienie ulgi.

– To była twoja mama? Brzmiała na wkurzoną. Pewnie powinnaś już iść.

– Zawsze tak brzmi i właśnie dlatego nie zamierzam wracać. Ona chce tylko, abym zajął się braćmi. Wtedy będzie mogła śledzić mojego ojca i upewnić się, że już nie spotyka się z panią Cassidy.

– To pani Cassidy nie jest mężatką?

– Jest – odpowiedział nonszalancko.

– I matką twojej dziewczyny, Lynn Cassidy?

– Jest – powtórzył, w żaden sposób nie reagując na mój pełen obrzydzenia ton. – Hej, a tak właściwie, to skąd wiesz, że Lynn jest moją dziewczyną?

– Bo chodzimy do tej samej szkoły. – Posłałam mu kolejne, pełne obrzydzenia spojrzenie i przewróciłam oczami.

– No właśnie! Tak mi się zdawało, że też chodzisz do East Side!

Wiedziałam o Tillu Page’u wszystko, a jemu się *zdawało*, że chodzimy razem do szkoły. *Niezwykłe budujące.*

– Jak masz na imię? – zapytał, kiedy usiadłam, opierając się o ścianę. Na kolanach położyłam sobie ołówki i szkicownik.

– Cindy Lou – odpowiedziałam, nie patrząc w górę i rozpaczliwie pragnąc, żeby sobie poszedł.

– Wcale nie.

– Daphne?

– Też nie.

– Ivy? – Spróbowałam go wykiwać po raz ostatni. Bazgrałam błyskawice, udając, że jestem zajęta.

– Nie – odpowiedział, ale przestał wypytywać. – Więc nie przeszkadzałoby ci, gdybym przez chwilę tu posiedział?

– To wolny świat, Till. A ja, tak właściwie, nie mam prawa do tego miejsca – stwierdziłam obojętna... chociaż w środku czułam coś zupełnie innego.

– Okej. – Usiadł pod przeciwległą ścianą.

Przez pół godziny nie ruszył się stamtąd i świdrował mnie wzrokiem. Wytręcało mnie to z równowagi, ale starałam się tego nie okazywać. Usilnie próbowałam go ignorować, ale spośród linii kreślonych ołówkiem na papierze zaczęły wyłaniać się jego oczy.

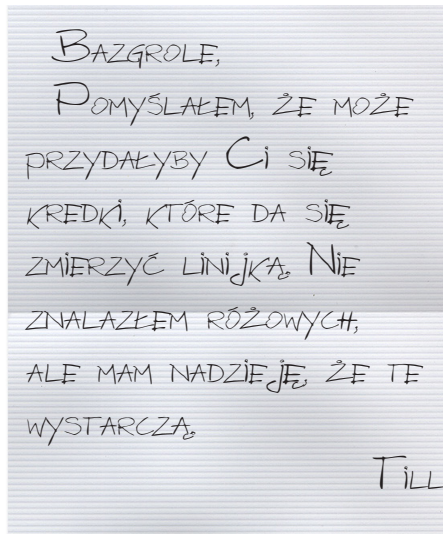
W końcu wstał i ruszył w stronę okna.

– Do jutra – rzucił znad ramienia.



Następnego dnia w szkole Till ani razu nie zwrócił na mnie uwagi. Co prawda nie spodziewałam się, że usiądzie obok mnie w trakcie lunchu. Nie byliśmy przyjaciółmi, ale i tak zabolalo, kiedy przeszedł tuż obok, nie rzucając w moją stronę nawet jednego spojrzenia. Chociaż może tak było lepiej – po tym, jak poprzedniego dnia zrobiłam z siebie idiotkę.

Tej nocy, gdy tylko moi rodzice zaczęli się kłócić o rachunek za prąd, jak zwykle udałam się do opuszczonego lokum. Kiedy weszłam, na podłodze zauważyłam małą, plastikową siatkę. Na kawałku papieru wyrwanego z zeszytu ktoś napisał liścik.



BAZGROLE,
 POMYŚLAŁEM, ŻE MOŻE
 PRZYDAŁYBY CI SIĘ
 KREDKI, KTÓRE DA SIĘ
 ZMIERZYĆ LINIJKĄ. NIE
 ZNALAZIEM RÓŻOWYCH,
 ALE MAM NADZIEJĘ, ŻE TE
 WYSTARCZA.

TILL

Zajrzałam do siatki i znalazłam w niej zestaw węgli rysunkowych. Nie były z najwyższej półki, ale nic, na co do tej pory mogłam sobie pozwolić, się z nimi nie równało. Nie miałam pojęcia, skąd Till wziął na nie pieniądze... lub raczej dlaczego miałby wydawać swoje ograniczone środki na mnie. Oczywiście zakładając, że w ogóle za nie zapłacił. Nie zastanawiając się nad tym zbyt długo, rozerwałam opakowanie i zaczęłam rysować.

– Bazgroł, jesteś dobra z matmy? – zapytał Till, kiedy godzinę później wspinał się przez okno.

– Co? – Zbił mnie z tropu nagłym zjawieniem się i ponownym użyciem czegoś, co, jak przypuszczałam, było moją nową ksywką.

– Matma. Pan Sparks zamierza mnie oblać. Jeśli nie zaliczę, nie będę mógł grać w futbol. – Podszedł i usiadł obok mnie na podłodze. – O, super. Przyniosłaś żarcie. Umieram z głodu. – Wcisnął rękę w opakowanie z chipsami, które wyniosłam z domu i zamierzałam zjeść na kolację.

– Pff... No, przyniosłam dla siebie. – Zabrałam torebkę, ale on zdążył ukraść kolejną garść.

– Ej, a podobają ci się te kredki? – zapytał, wypychając sobie usta jedzeniem.

Dał mi zestaw. *No tak.*

Podsunęłam mu resztę chipsów.

– Są naprawdę super. Dzięki.

– Nie ma sprawy. – Wzruszył ramionami i posłał mi szeroki uśmiech z zamkniętymi ustami. – To jak? Matma?

– Nie, serio, Till. Są naprawdę fajne. Musiały być drogie.

– Nie ma sprawy. – Zerwał się na równe nogi i podszedł do lampy stojącej w rogu. – Jak to możliwe, że masz tu prąd? – Dwa razy pstryknął włącznikiem.

– Chyba dostawca prądu nigdy go nie odciął. To dobrze, bo zimą przynoszę mały piecyk elektryczny, żeby nie zamrznąć.

– Bez kitu? Mógłbym się tu wprowadzić – wymamrotał niewyraźnie do siebie. Zrozumiałam go tylko dlatego, że ta sama myśl często przemykała mi przez głowę.

– Mogę zwrócić ci pieniądze za zestaw?

– Nie. Ale możesz mi pomóc z matmą, wtedy nie wykopią mnie z drużyny. – Wepchnął sobie do ust kolejną garść chipsów.

– No weź. Mogłabym płacić ci po kilka dolców tygodniowo czy coś. Czułabym się z tym lepiej.

– Dlaczego? Powiedziałem przecież, że nie ma sprawy.

– Bo oboje nie mamy kasy na takie rzeczy. Chociaż naprawdę to doceniam. – Uśmiechnęłam się sztywno.

– Twierdzisz, że jestem biedny? Nie jestem! – wrzasnął. Szczerym mówiąc, zaskoczył mnie.

– Nie – powiedziałam ostrożnie. Nie byłam pewna, co myśleć o jego reakcji. – Myślę, że *oboje* jesteśmy biedni. Till, mieszkamy w tej samej dzielnicy. Zakładam, że twoja rodzina, tak jak moja, nie wprowadziła się tu dla luksusowych widoków.

– Nieważne. – Wyszarpnął mi z rąk pudełko ze swoim prezentem i rzucił się biegiem w stronę okna.

– Hej! Nie możesz mi ich teraz zabrać. Dałeś mi je. – Skoczyłam do przodu, chcąc mu je wyrwać.

Zaczęliśmy się szarpać... dopóki nie wyciągnęłam asa z rękawa.

– Au! – krzyknęłam, przyciskając do siebie rękę i przewracając się na brudną podłogę.

Otworzył szeroko oczy.

– Kurde. Przepraszam. Nic ci się nie stało? – Kucnął obok mnie.

Nie wahając się ani przez chwilę, wydarłam mu pudełko z ręki i przekręciłam się, żeby zasłonić je ciałem.

– Chyba sobie żartujesz! – krzyknął.

Nie mogłam się powstrzymać i wybuchnęłam zwycięskim śmiechem.

Jednak nie cieszyłam się zbyt długo, bo nie minęła nawet sekunda, kiedy on nachylił się i szepnął mi do ucha:

– Pająk.

Całe moje ciało zaczęło drżeć. Podskoczyłam na równe nogi.

Upadł na podłogę, śmiejąc się histerycznie. Próbowałam użyć *mocy* i wystrzelić laserami z oczu. Niestety, chyba nie był ze mnie najlepszy Jedi.

– Ale z ciebie palant!

– O Boże, Bazgro! – Dalej tarzał się po podłodze. – Myślałem, że masz atak padaczki!

– Mam nadzieję, że dobrze grasz w futbol, bo komik z ciebie żaden – stwierdziłam śmiertelnie poważnie.

– A z ciebie? – Zaczął skakać po pomieszczeniu, przedrżniając mnie i krzycząc: – Au!

Zagryzłam wargi, próbując stłumić śmiech. Nabijał się ze mnie, ale robiąc to, wyglądał bardzo komicznie. W żadnym wypadku nie mogłam być na niego zła. Kilka minut później zatrzymał się i posłał mi uśmiech topiący serca. A przynajmniej moje serce.

– Pomogę ci w matmie... jeśli obiecasz, że nie będziesz już kradł przyborów rysunkowych.

Uśmiech zbladł. Till wpatrywał się w swoje buty, zawstydzony.

– Dzięki za prezent i nawet nie myśl o odbieraniu mi go. Ale już wystarczy, dobrze?

– Taa. Spoko – powiedział, wbijając wzrok w podłogę.

– Dobrze, głuptasie. Od czego powinniśmy zacząć? Proszę, powiedz, że nie muszę cię uczyć, że dwa plus dwa to cztery. – Zażartowałam, przechodząc obok niego i szturchając go ramieniem.

– Baaardzo śmieszne. – Droczył się, ale poszedł za mną i usiadł na kocu.

Dwie godziny później, po odrobieniu zadań domowych z matematyki, wyszedł przez okno. Tuż przed tym, jak zniknął, zawołał:

– Do jutra, Bazgro!

Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że po tym dniu będę widywała Tilla Page'a prawie codziennie.



2

ELIZA

Trzy lata później...

– CHCIAŁABYŚ WYBRAĆ SIĘ ZE MNĄ dzisiaj wieczorem do kina? – zapytał.

Przygryzłam wewnątrz policzka, żeby stłumić pisk nastolatki, który próbował się ze mnie wydobyć.

– Pewnie. Brzmi fajnie – powiedziałam nonszalancko i szybko się odwróciłam. Stał zbyt blisko mnie, więc potrzebowałam ucieczki. Ciemne wewnątrz mojej szafki wydawało się najbardziej oczywistym z wyborów.

Schowałam do niej głowę, udając, że szukam jakiejś książki i pozwoliłam, by na mojej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Wizja tego, jak mówię Crystal o naszej randce, dawała mi niemal tyle samo ekscytacji, co sama randka. Dostanie zawału, kiedy powiem jej, że w końcu mnie zaprosił. Długo mu to zajęło... to na pewno. Zdawało mi się, że cała szkoła wie o tym, że jest mną zainteresowany, chociaż ja raczej nie należałam do fajnych dzieciaków. Z drugiej strony on też nie. Niewielu sportowców zapisywało się na każdą możliwą lekcję rysunku, wliczając w to te, które szkoła oferowała po godzinach lekcyjnych. Był inny i to mi się podobało. Bardzo.

– Wszystko w porządku, Elizo?

Poczułam jego dłoń na plecach i dosłownie pisnęłam. To nie-
zbyt subtelne z mojej strony, ale pisk stłumiło chrapliwe wes-

tchnienie. Może i miałam dopiero szesnaście lat, ale wiedziałam, że chrapliwe dźwięki nie pomagają, kiedy się próbuje udawać wyluzowanego.

– Tak. W porządku. – Obróciłam się, żeby stanąć z nim twarzą w twarz. Jego dłoń znalazła się na moim biodrze. Pisnęłam.

Nagle moją uwagę przykuły obce, piwne oczy. Och, znałam każdy łuk jego niedorzecznie przystojnej twarzy. Każdy z nich rysowałam więcej razy, niż chciałabym się do tego przyznać. Ale w tym budynku te oczy były dla mnie tak samo odległe, jak mężczynna na Księżycu.

Kiedy się zbliżył, uśmiech zniknął z mojej twarzy.

– Bennett, masz przyjść na salę gimnastyczną. Trener cię szuka – oznajmił Till, zatrzymując się przed nami.

Przez lata przywykłam do tego, że Till w szkole mnie unikał. Każdej nocy spędzał godziny przy moim boku w naszym opuszczonym mieszkaniu, ale w szkole nigdy. Ani razu nie zwrócił na mnie uwagi. Na początku mnie to wkurzało. No dobra, nadal mnie to wkurza.

– Co? Dlaczego? – Daniel Bennett zdjął dłoń z mojego biodra.

Zamiast kolejnego pisku, z mojego gardła wydobył się pomruk skierowany bezpośrednio w stronę Tilla.

– Nie byłem pewien co do niektórych zagrywek, więc znowu będziemy oglądać nagrania z zeszłego tygodnia. – Kącik jego ust podniósł się, tworząc półuśmiech.

I to właśnie rozpoznałam. Coś kombinował.

– Serio? Mam już plany – jęknął Daniel.

– Sorry, stary. To rozkaz trenera. – Till wzruszył ramionami i próbował wcisnąć dłonie w kieszenie swoich sponiewieranych dżinsów.

Ostatnio odkrył istnienie ciężarków, więc spodnie szybko stawały się za małe na jego duże ciało, ale nosił je tak, jakby dokładnie o to mu chodziło. Cholera, znając Tilla, możliwe, że właśnie tak było.

– To będzie trwało cały wieczór? – upewnił się Bennett, przechylając głowę w moją stronę.

Till wciągnął powietrze. Wiedziałam, że czerpie z tego radość.

– Na to wygląda. – Przekrzywiłam głowę. Nie byłam pewna, co myśleć o jego nagłym pojawieniu się, ale jeśli zauważył mój badawczy wzrok, nie dał tego po sobie poznać.

– Cholera – wymamrotał Bennett, odwracając się do mnie. – Może moglibyśmy iść na kolację jutro po meczu? Trener uwielbia te swoje nagrania, więc to będzie trwało wieczność.

Westchnęłam zrezygnowana.

– Nie mogę. Jutro wieczorem pracuję. W piątkowe wieczory Smokehouse tętni życiem. Pojawi się tam co najmniej dwunastu klientów. Jakże mieliby znaleźć sobie miejsce beze mnie? – odpowiedziałam sarkastycznie.

– No to przyszły weekend? – Znowu jęknął.

– Pewnie. Może być. – Poślałam mu słodki uśmiech.

– Okej. Następny weekend. Kolacja i film. – Upewnił się, zanim się wycofał.

– Uwważaj! – Zaśmiałam się, patrząc, jak taranuje jednego z pierwszaków.

– Przepraszam – powiedział i puścił do mnie oko.

Zakrywając usta, próbowałam ukryć uśmiech. Patrzyłam za nim, dopóki nie zniknął z widoku, po czym znowu odwróciłam się do szafki, ale zatrzymałam się, ponieważ Till nadal stał obok mnie.

Nie wiedziałam, dlaczego zwlekał. Zamykając szafkę, otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale mnie ubiegł.

– Bazgroł – rzekł, witając mnie i żegnając zarazem.

Szczęka mi opadła, a on oddalił się wolnym krokiem.

Trzy lata. Trzy *długie* lata i pierwszym słowem, jakie wypowiedział do mnie w szkole, była moja głupia ksywka tak cholernie przeze mnie kochana. Nawet nie mogłam być na niego o to zła.



3

Till

Pół roku później...

– HEJ, PANI NOELLE. CZY MÓGŁBYM pożyczyć od pani telefon? – Poprosiłem zrędliwą starszą panią mieszkającą obok.

– Znowu? – burknęła, wręczając mi bezprzewodowy telefon przez szparę w drzwiach.

– Przepraszam. – Wstukałem numer do przyjaciółki mamy, Tracie. Miała komórkę i chociaż była kompletną suką, sądziłem, że będzie w stanie mi pomóc.

– Tracie. Cześć, tu Till. Wiesz może, gdzie jest moja matka? – zapytałem, gdy tylko odebrała.

– Jezu, Till. Skończ już wydzwaniać na mój rachunek. Zamierzasz, gołodupcu, go opłacić, jak zejde? Nie wydaje mi się. Nie mam pojęcia, gdzie jest twoja matka. Przestań wydzwaniać. – Rozłączyła się tak samo szybko, jak odebrała.

– Cholera – przekląłem pod nosem, oddając telefon pani Noelle.

– Ależ proszę bardzo! – krzyknęła za mną, kiedy ruszyłem do mieszkania rodziców.

– Taa, dzięki – odpowiedziałem nieobecny.

Wszedłem do środka i zacząłem chodzić po tej norze. Eliza na mnie czekała. Wiedziałem, że tak jest. Godzina policyjna jej chłopaka, Daniela Bennetta, rozpoczynała się o północy, więc zawsze ją odwoził pół godziny przed czasem. Sam fakt, że musiałem się nią z nim dzielić, był dobijający, a do tego, ponieważ moja matka

wyszła na chwilę po papierosy i od sześciu godzin nie wróciła, istniała spora szansa, że ominą mnie urodziny Elizy.

Utknąłem zaledwie dwa budynki dalej, pilnując swoich braci. Skoro Flint był jedenastoletnim chłopakiem, prawdopodobnie nic by mu się nie stało, gdyby miał spać sam w mieszkaniu, ale Quarry był tylko sześciolatkiem. Nie mogłem po prostu wyjść.

– Cholera! – krzyknąłem, ściągając czapkę i rzucając ją na kanapę. – Akurat, kurwa, dzisiaj! – Zacząłem narzekać.

– Till?

Usłyszałem głos Quarry'ego, który wychodził właśnie ze swojego pokoju ubrany w komplet brudnych ciuchów. Z tego, co wiedziałem, miał tylko dwie pary dżinsów. O piżamie mógł sobie co najwyżej pomarzyć.

– Wszystko dobrze, mały. Wracaj do łóżka.

– Mama nadal nie wróciła? – zapytał, przecierając oczy.

– Nie, ale wszystko jest w porządku. Po prostu idź spać. – Poczochrałem jego gęste, czarne włosy.

– Masz randkę?

– Tak jakby.

Największe niedopowiedzenie roku. Wcale nie tak jakby. *Chodziło o Elizę*. Chodziło o coś ważniejszego od randki. Całymi pięprzonymi tygodniami oszczędzałem pieniądze na prezent dla niej. A teraz, kiedy miała urodziny, nie mogłem jej go nawet dać.

Palcami zawiąłem dolną wargę i rozmyślałem nad tym, co zrobić. Matka w końcu się zjawi, ale byłem pewien, że stanie się to dopiero rano. Bóg jeden wie, gdzie, do diabła, przebywał ojciec. On był nawet bardziej bezwartościowy od niej. Co noc spotykałem się z Elizą i z pewnością nie zamierzałem zmieniać tej tradycji w jej urodziny.

– Hej, Quarry. Ubieraj buty. Idziemy na krótki spacer.

– Okej! – rzucił podekscytowany, a ja roześmiałem się po raz pierwszy od kilku godzin.

Poszedłem do pokoju chłopców i szturchnąłem Flinta.

– Ej, zabieram Q na spacer. Możesz przez chwilę zostać sam?

– Taa – burknął, przewracając się na drugi bok i od razu zasypiając.

Otworzyłem szafę w przedpokoju i wyciągnąłem wazon, który tam schowałem.

– Gotowy! – krzyknął Quarry.

Rzuciłem okiem na jego brudną koszulkę i pokręciłem głową.

– Idziemy. – Ruszyłem w stronę drzwi z bratem depczącym mi po piętach.

Przez całą drogę gęba mu się nie zamykała.

– Ej, gdzie idziemy? Ty zrobiłeś te kwiatki? To dla twojej dziewczyny? Ty w ogóle masz dziewczynę? Jak ma na imię? Mogę ją poznać?

– Jezus! Quarry, skończ już! – warknąłem, ale on uciszył się tylko na minutę.

– Mieszka tu? – wyszeptał, a ja rzuciłem mu spojrzenie wyrażające frustrację, na co on tylko się uśmiechnął i wzruszył ramionami.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, zauważyłem światło w oknie. *Ona tam jest.*

Serce zaczęło mi bić mocniej... jak zawsze tuż przed zobaczeniem jej.

– Zostań tu – rozkazałem Quarry'emu, zbliżając się do okna, ale usłyszałem, że za mną idzie. Odwróciłem się szybko do niego. – Co ty robisz? Powiedziałem ci, że masz zostać na chodniku.

– Tam jest ciemno! – zajęczał w odpowiedzi.

– Nie możesz ze mną iść. Po prostu... Zostań. Tutaj. – Znowu ruszyłem w stronę okna, a Quarry ciągle za mną szedł. – Prze stań za mną łazić! – powiedziałem teatralnym szeptem.

– Jest naprawdę ciemno, Till! – odpowiedział w ten sam sposób.

Głośno westchnąłem.

– To stań tam, pod tym oświetlonym przejściem między domami. – Wskazałem budynek obok.

– Dobra. Odprowadź mnie.

Rzuciłem mu zniecierpliwione spojrzenie, które spłynęło po nim jak po kaczce.

– No, chodź. – Sfrustrowany poszedłem z bratem, powłócząc nogami.

Kiedy za mną szedł, nie przestawał chichotać. Już jako sześciolatek miał jaja.

Zaraz po tym, jak Quarry znalazł się kilka centymetrów od światła, poszedłem z powrotem pod okno. Serce mi waliło, a wazon w mojej ręce stukał, gdy się zbliżałem.

To tylko Eliza.

Cholera. To *Eliza*. Puls znowu mi przyśpieszył.

– Hej! – krzyknęła, kiedy otwierałem okno.

Na jej widok od razu się uspokoiłem. *Nadal tam jest*. Prawie cztery lata później *wciąż* tam była.

– Cześć, solenizantko! – Pilnowałem się, żeby trzymać ręce nisko, nie mogła zauważyć prezentu.

– Co tak stoisz? Wchodź.

– Ech. Nie mogę. Moja matka wyszła... – Przerwałem. Nie chciałem jej zarzucać całym tym swoim gównem. Powinienem zaśpiewać „Sto lat” i przytrzymać jej szkicownik... lub raczej zaglądać jej w dekolt, kiedy nachyla się, rysując.

– Gdzie poszła? – zapytała, wstając z koca rozłożonego na podłodze. Odnotowałem w głowie, żeby znaleźć dla niej coś wygodniejszego do siedzenia.

– Po fajki...

– O, okej.

– Sześć godzin temu – dokończyłem.

– Ach. – Zatrzymała się zaledwie kilka centymetrów ode mnie, ale dzielił nas cały świat w postaci okna.

– Przepraszam, Bazgroł. Nie mogę ich zostawić samych. Po prostu chciałem... No, wszystkiego najlepszego. – Podniosłem wazon wypełniony papierowymi kwiatami tak, żeby mogła go zobaczyć.

– Till! – Wciągnęła powietrze, zasłaniając sobie usta rękami. Roześmiała się głośno, a łzy napłynęły jej do oczu.

Eliza była beksą. Udawała, że płacze tylko wtedy, gdy jest zła. Ale to było tylko takie pieprzenie. Płakała niezależnie od tego, skąd wiał wiatr. Szczęśliwa, smutna, zła... to nie miało znaczenia.

Uwielbiałem, kiedy płakała z radości. Śmiałem się, kiedy płakała ze złości. Byłem nieszczęśliwy, kiedy płakała ze smutku. Za każdym razem trzymałem ją w ramionach. Ale jej reakcja tej nocy była wyjątkowa. Chociaż domyślałem się, że mój prezent był także dosyć szczególny.

Od miesiący gadała o specjalnych pędzlach, które sobie wymarzyła. Dla dzieciaków takich jak my, pięćdziesiąt dolców, bo tyle kosztowały, to kosmos. Ale kiedy zdałem sobie sprawę z tego, że zbliżają się jej urodziny, dobrze wiedziałem, co jej kupić. Poskładałem chyba z milion kartek zeszytowych, tworząc małe kwiaty i poprzyklejałem je do rączek pędzli. Następnie wrzuciłem je do wazonu i bam! Miałem bukiet, który nie zwiędnie. Myślałem, że to dobry pomysł, ale okazał się dużo lepszy, niż się spodziewałem.

– Ty je zrobiłeś? – zapytała, nadal zakrywając sobie usta.

– No – stwierdziłem dumnie.

– Czy to są...

– No – potwierdziłem, a ona otworzyła szerzej oczy. – Kupiłem je – szybko dodałem, przypominając sobie pierwszy raz, kiedy podarowałem jej przybory rysunkowe.

Wybuchnęła śmiechem. Boże, jak ja to kochałem. Wiedziałem, że gdy go utracę, już nigdy nie będę taki sam. Z radością oddałbym każdy dźwięk świata, jeśli tylko mógłbym zatrzymać jej śmiech. Ale moje życie nie działało w ten sposób.

– Till! – Wygramoliła się przez okno i zarzuciła mi ręce na szyję. – Dziękuję!

– Nie ma sprawy, Bazgroł – szepnąłem w jej włosy. Trzymając ją niemożliwie mocno, chłonałem ciepło, które tylko ona mogła mi dać.

Odchyliła się, a jej płomienny wzrok szybko natrafił na moje usta. Eliza od zawsze tak na mnie patrzyła, a mnie wraz z mijającymi latami było coraz trudniej powstrzymać się od pocałowania jej, dotykania, *uznania za swoją*. Ale wiedziałem, że jeśli bym to zrobił, ostatecznie i tak bym ją stracił. Związki licealne nigdy nie wypalały. Coś by się wydarzyło, rozstalibyśmy się, a ona odeszłaby na zawsze. Nie chciałem tak ryzykować. Za bardzo potrzebowałem Elizy.

Przez lata kochałem ją z daleka... no, raczej z daleka tylko wtedy, kiedy nie znajdowaliśmy się w naszym osobistym małym niebie. Niebezpiecznie byłoby zwrócić na nią uwagę poza tymi ścianami.

Od zawsze była piękna. Już w wieku trzynastu lat oczarowały mnie jej głębokie, ciemnoniebieskie oczy. Proste, brązowe włosy sięgające do ramion miała zawsze poskręcane z przodu, bo z nerwów bawiła się końcówkami. Jasna skóra była usiana piegami, których mapę mogłem wyrysować z pamięci. A jej ciało... Jezu, jej ciało zostało dla mnie stworzone. Była naturalnie szczupła, ale miała delikatnie zaokrąglone biodra. Właśnie te krągłości dręczyły mnie codziennie. Byłem co najmniej o trzydzieści centymetrów wyższy od niej i prawdopodobnie cięższy o jakieś pięćdziesiąt kilogramów, ale w środku to ona była silniejsza.

Nikt nie zauważał Elizy Reynolds. W szkole kojarzyło ją niewiele osób, a ja nie zamierzałem tego zmieniać. Jeśli została by dostrzeżona przez drużynę futbolową, chłopcy zalaliby ją propozycjami wyjścia na randki. Więc za wszelką cenę ją ignorowałem, żeby nie zwracać na nią uwagi innych. Nie mogłem ryzykować tego, żeby ktoś mi ją zabrał.

Pewnie, spotykała się z Danielem Bennettem, ale on był idiotą. Codziennie, widząc ich razem w szkole, chciałem go zabić. Ale co mogłem zrobić? Nie była moja... W każdym razie nikt o tym nie wiedział.

– Co dostałaś od Bennetta? – zapytałem, żeby wy badać konkurencję. Nie był bogaty, ale miał samochód i w każdy weekend zabierał ją na randkę. Pytanie zadałem z ciekawości, ale ona przestała się uśmiechać.

Wymamrotała coś, co nie do końca usłyszałem.

– Co?

Spojrzała w górę i powtórzyła:

– Kolczyki w kształcie biodronek.

Przez minutę mrugałem oczami, a potem zgiąłem się w pół ze śmiechu.

– Zamknij się! – powiedziała twardo, a następnie zaczęła się śmiać razem ze mną.

– Po prostu pozwól mi się upewnić, Bazgroł. Kupił kolczyki w kształcie biodronek dziewczynie, która nigdy nie ma przekłutych uszu i która panicznie boi się robaków? – Znowu zacząłem się śmiać.

– Och, ale to nie wszystko. Nie wiedziałam, co powiedzieć, kiedy otworzyłam prezent, więc powiedziałam mu, że są piękne. Teraz będę musiała sobie przekłuć uszy, żeby nie czuł się źle.

– Co? To kretyński pomysł. – Przestałem się chichrać. – Boisz się igieł. Wiesz, że ich do tego używają, nie?

– O kurde, Tillu Page’u. Ty naprawdę mnie słuchasz! – Uśmiechnęła się i objęła mnie, znowu się przytulając. – Dziękuję.

– Słucham całej twojej paplaniny. Nawet tych nudnych rzeczy. Zachichotała, a ja pocałowałem ją w czubek głowy.

– Światło zgasło – stwierdził Quarry, który zjawił się ni stąd, ni zowąd. Wystraszył nas oboje.

Eliza podskoczyła chyba na trzy metry.

– Jezu, Q! Nie zakradaj się tak do ludzi! – warknąłem, próbując uspokoić swoje łomoczące serce.

– Przepraszam – powiedział zawstydzony, a ja od razu poczułem się winny, że na niego naskoczyłem.

– Hej, nic się nie stało, mały.

– Czy to Quarry? – Eliza prawie zapiszczała.

– Powinniśmy się zbierać – mruknąłem.

– Tak, to ja Quarry. – Zakotyła się na palcach.

– Wow. Śłodziak z ciebie. – Eliza kucnęła przed nim, a ja mogłem tylko myśleć o tym, że zauważy, jak brudna jest jego koszulka.

– No chodź, Q. – Zacząłem odchodzić, ale oboje mnie zignorowali.

– Dzięki! – Quarry uśmiechnął się szeroko. – Ej, może jak będę starszy, to pójdziemy na randkę czy coś? – zapytał. Szybko przekręciłem głowę w jego stronę, podnosząc pytająco brew.

– Byłoby super – powiedziała, tłumiąc chichot. – Chociaż najpierw powinnam ci chyba powiedzieć, jak mam na imię. Wiesz, w ten sposób będziesz mógł mnie odnaleźć za kilka lat.

– O, no. Przydałoby się. Dałabyś mi też swój numer telefonu? – zapytał.

Szczęka mi opadła. Świetnie. Nawet mój sześćioletni brat próbuje mi ją zabrać.

– Widać, że jesteś spokrewniony z Tillem. – Zaśmiała się głośno. – Cóż, Quarry Page’u, nazywam się Eliza Reynolds. Później poproszę twojego brata, żeby dał ci mój numer. Naprawdę nie mogę się doczekać naszej randki. – Podniosła rękę, żeby przybił jej piątkę, a Quarry z entuzjazmem to zrobił.

Kręcąc głową, zerwałem miłosną więź Quarry’ego.

– No dobra, musimy już iść. Flint został w domu i śpi. Wszystkiego najlepszego, Bazgroł. – Pochyliłem się i pocałowałem ją w czoło.

Zdjęła wazon z parapetu i przytuliła do piersi.

– Jeszcze raz dziękuję. Widzimy się jutro?

– Pewnie. – Uśmiechnąłem się, a po chwili puściłem oczko.

– Chodź, pomogę ci. – Podniosłem ją i delikatnie przecisnąłem przez okno, z powrotem do środka. Wykorzystam każdą wymówkę, żeby jej dotknąć.

– Dobranoc, Quarry! – Posłała mu buziaka, przez którego uśmiech powoli wkradł się na jego twarz.

Jak tylko oddaliliśmy się o kilka kroków, Quarry znowu zaczął mówić.

– Chcesz wziąć z nią ślub?

– Nie wiem. Chyba mogłeś zapytać mnie o to, zanim zaprosiłeś ją na randkę. Nie wiem, czy podoba mi się to, że podrywasz moją dziewczynę. – Droczyłem się z nim, ale on przestał się uśmiechać. – Żartuję. – Lekko szturchnąłem go w ramię.

– Ej, a dlaczego wspięła się przez okno? W jej domu nie ma drzewi? Byłoby całkiem fajnie cały czas wspinać się przez okna. Wtedy trzeba by chyba wstawić klamkę w okno?

– Chcesz usłyszeć coś fajnego? – Przerwałem, żeby go uciszyć.

– No!

– To okno, przez które się wczołgała, jest *magiczne*.

– Nie – powiedział, nie dowierzając. Przystanął i spojrzał na mnie.

– Serio. To jest magiczny portal, który przenosi do świata fantazji. Nie ma tam rodziców ani nauczycieli. Wszystko jest ładne i czyste, a w spiżarni nigdy nie brakuje jedzenia. Ale najlepsze jest to, że ona zawsze tam jest.

– Ona też jest magiczna? – zapytał, wciągając powietrze z szeroko otwartymi oczami.

Zanim mu odpowiedziałem, myślałem o tym przez minutę.

Czy Eliza jest magiczna?

Dla mnie tak.

– Na sto procent.